GRZEGORZ PRZEBINDA

Patriotyczną duszę Zachara Prilepina raduje, gdy putinowskie rakiety trafiają w ukraińskie sieci energetyczne i wodociągowe, odcinając tamtejszą ludność od światła, ciepła i wody. Pisarz ma wielu stronników – i to czasami od niego nawet ideologicznie „lepszych". Ale nie jest zazdrosny i obdarza ich serdecznymi, jak to on, pochwałami.

LITERATURA I ZBRODNIA

Pisarz militarysta Zachar Prilepin – mój niegdysiejszy gość na Spotkaniach Wschodnich na UJ (2009) – udzielił niedawno wywiadu wysokonakładowemu moskiewskiemu tygodnikowi „Argumenty i Fakty", gdzie twardo dowodził, iż rosyjscy twórcy okresu rewolucji i wojny domowej – Michaił Szołochow, Siergiej Jesienin, Władimir Majakowski, Wielemir Chlebnikow, a chyba nawet i Michaił Bułhakow – byliby dziś zwolennikami „specjalnej operacji wojskowej", zgodnie z zaleceniami prozaika Leonida Leonowa: „Prawda zasadza się w tym, iż są rzeczy większe od człowieka – Bóg i Ojczyzna. Od historii, jak mówił Leonid Leonow, »uciec można tylko do grobu«. Albo nosisz miano człowieka rosyjskiego, jakie nosili ludzie tysiąc lat przed tobą, albo schodź z drogi i rób miejsce tym, którzy zdolni są nadal to miano nosić" – mówił.

Zachar Prilepin w Moskwie, styczeń 2021 r.

GAVRIIL GRIGOROV / TASS / FORUM

Nie tylko pióro, ale i broń

Jednym z tych niegodnych jest w oczach Zachara Prilepina pisarz (notabene od dawna mój przyjaciel) Dmitrij Bykow. Prilepin zarzuca mu nie tylko zdradę Rosji w imię kosmopolitycznego liberalizmu, ale i niezrozumienie wielkich idei Majakowskiego.

Dmitrij Bykow z USA przeklina rosyjski imperializm. Jest on notabene autorem biografii Majakowskiego (2018). Ale Majakowski pochwalił zajęcie Kijowa przez wojska radzieckie!

„Podczas wojny domowej, przypomnijmy, Kijów trzeba było zdobywać dwa razy. A jeśli Bykow zacznie się wykręcać, mówiąc, że Majakowski dlatego to pochwalił, że Kijów zajmowany był przez wojska radzieckie, to odpowiemy mu spokojnie: W każdych okolicznościach nieszczęsny ukraiński nacjonalizm byłby Majakowskiemu wstrętny. Obecni nasi literaccy liberałowie występują nie tylko, ot tak sobie, przeciwko Specjalnej Operacji Wojskowej, ale – będę się tu upierał – także i przeciwko Błokowi i Jesieninowi, przeciwko Szołochowowi i Bablowi. Przeciwko Andriejowi Płatonowowi, przeciwko Paustowskiemu".

Jest to więc, jak widać, nie tylko imperialna wojna Prilepina przeciwko Ukrainie, ale i jego walka o zawładnięcie lwią częścią literatury rosyjskiej, przy czym on sam także pisze swoje, odpowiednio oczywiście ideologicznie ukierunkowane monografie o pisarzach – m.in. o wspomnianym Leonowie (2010) i o Jesieninie (2020) – bite tysiąc stron. Ale najbardziej wyrazista w sensie militarystycznym jest jego praca z 2017 r. pt. „Pluton. Oficerowie i żołnierze (w oryginale: opołczeńcy – aut.) literatury rosyjskiej", przedstawiająca podrasowane ideowo biografie 11 pisarzy pierwszej połowy XIX stulecia, z czasów nazywanych Złotym Wiekiem kultury rosyjskiej – od Gabriela Dierżawina, Denisa Dawidowa i Piotra Wiaziemskiego do Piotra Czaadajewa i Aleksandra Puszkina, którzy „umieli trzymać w ręku nie tylko pióro, ale i broń".

Sam Prilepin, który już od grudnia 2015 r. pracował jako doradca Aleksandra Zacharczenki (szefa samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej, zabitego w sierpniu 2018 r.), w 2017 r. otwarcie ogłosił, iż został właśnie politrukiem jednego z batalionów tejże DNR. Utalentowana krytyczka literacka Galina Józefowicz (ur. w 1975 r.), notabene rówieśniczka Prilepina, już wtedy pisała przenikliwie o tej książce w portalu Meduza:

„W schematycznym i uproszczonym przedstawieniu logiczny łańcuch Prilepina wygląda następująco. Złoty Wiek – to szczyt i wzorzec kultury rosyjskiej. W Złotym Wieku wszyscy pisarze byli wojownikami, patriotami i nie wstydzili się rozszerzać granic państwa rosyjskiego z orężem w ręku. A nam, ludziom Brązowego Wieku, trzeba równać do ludzi Wieku Złotego i czynić tak jak oni – to jest brać oręż i wyprawiać się na wojnę. Wojowanie – rzecz normalna i Wiaziemski z Czaadajewem to potwierdzają".

Smażcie wy się w piekle

Gdy dziś ktoś zajrzy na puchnące dosłownie z godziny na godzinę konto Prilepina na Telegramie, od razu dostrzeże, że jest on jednym z najbardziej pracowitych antyukraińskich opołczeńców literatury rosyjskiej. Zamieszcza codziennie przynajmniej kilkanaście komentarzy, przy czym jego patriotyczną duszę szczególnie raduje, gdy putinowskie rakiety trafiają w ukraińskie sieci energetyczne i wodociągowe, odcinając tamtejszą ludność – w tym także kobiety i dzieci – od światła, ciepła i wody. Pobożny jak wszyscy putiniści Zachar potrafi to nawet wyliczyć optymistycznie w procentach, które w jego opinii znacznie przybliżają włączenie tej „lepszej Ukrainy" do „matuszki Rosji". Gorszą Ukrainę, rzecz jasna, trzeba wymrozić i wybić – to jego dosłowne postulaty.

Ma Prilepin, oczywiście, wielu stronników – i to czasami od niego nawet ideologicznie „lepszych". Ale nie jest zazdrosny i obdarza ich w Telegramie serdecznymi, jak to on, pochwałami. Tak czyni np. wobec znanych zbirów w rodzaju Iwana Ochłybistina i Władlena Tatarskiego, a niedawno udzielił pochwały patriotycznej również swemu rówieśnikowi, a zarazem pobratymcowi ideowemu – Antonowi Krasowskiemu.

Ten jeszcze w połowie lat 90. uczył się w Instytucie Literackim im. Gorkiego (słynny Dom Hercena w „Mistrzu i Małgorzacie"), zaraz potem publikował w liberalnej w tamtych czasach „Niezawisimej Gazecie", także w prestiżowych „Woprosach Literatury", prowadził program „Nowości książkowe" w szeroko oglądanej, profesjonalnej wówczas telewizji NTW. Jednakże w latach późniejszych nawrócił się na dobrze opłacany putinizm. Stał się prawdziwą gwiazdą reżimu, gdy komentując spotkanie opozycji na placu Błotnym w Moskwie w grudniu 2021 r., wrzeszczał w programie „Minaev Live": „Do diabła, co to za rewolucja. Boże, a smażcie wy się w piekle – smażcie się w piekle z tymi swoimi mityngami". I rzucił jeszcze parę niegodnych przytoczenia bluzgów.

W 2014 r. poparł oczywiście aneksję Krymu, następnie w swoim specjalnym rosyjskojęzycznym programie „Antoni-

my" nawoływał żarliwie do wojny z Ukrainą. Oto cytat z 13 stycznia 2022 r.: „Wprowadzimy wojska do Ukrainy – to nasza ziemia. Figę dostaniecie, a nie NATO. Nawet sobie nie marzcie, kreatury! Odbierzemy wam waszą konstytucję i spalimy ją na Chreszczatyku razem z wami".

18 lipca 2022 r. rozpętał w donieckiej telewizji Union dyskusję na miarę, nie bójmy się tych skojarzeń, Dostojewskiego – a mianowicie, „czy łza ukraińskiego dziecka może być równie cenna jak rosyjskiego?". Perorował więc, „że nasze dziecko jest nam droższe, dlatego, że jest nasze". I konsekwentnie dowodził, że dopiero gdy Rosja przywróci sobie ziemie „nieistniejącej Ukrainy", a tamtejsze dzieci „staną się rosyjskie", to „dopiero wtedy będziemy ich bronić". 10 października 2022 r., po morderczych atakach rosyjskich rakiet na ukraińskie miasta, gdy zginęło kilkanaście osób, Krasowski wrzucił do swych mediów społecznościowych nagranie wideo, na którym z radością tańczy i komentuje: „Powiedzieć, że jestem szczęśliwy, to nic nie powiedzieć".

Topić takich w Cisie

Chwalił go za to Zachar Prilepin, a ciekawe, co też powie teraz w obliczu głośnej już na cały świat najświeższej wypowiedzi swego ideowego kolegi, który notabene trzy lata swego życia (1986–1989) spędził w miasteczku Kuzniecowsk (obecnie Warasz) na Wołyniu, gdzie w miejscowej Rówieńskiej Elektrowni Atomowej pracował jego ojciec. Krasowski młodszy w rozmowie 23 października z takim samym jak on pod względem ideowym, przy czym niezwykle popularnym w Rosji, pisarzem fantastą Siegiejem Łukjanienką, najpierw wyraził się pogardliwie o kobietach z Ukrainy, które potraciły na wojnie mężów i synów. Odnosząc się do krążącej po sieci, a przywołanej z ironią przez tegoż Łukjanienkę informacji, jakoby władze Rosji dawały swym żołnierzom viagrę, i to paczkami, aby gwałcili ukraińskie kobiety, Krasowski zakrzyknął wyjątkowo nikczemnie: „O Boże, ukraińskie baby oddałyby wszystkie swe rekompensaty pośmiertne, aby żołnierze rosyjscy je zgwałcili".

Niestropiony tym wcale Łukjanienko (ur. w 1968) opowiadał dalej, że gdy w 1980 r. był jeszcze jako dziecko pierwszy raz w Ukrainie, usłyszał od tamtejszych rówieśników, że za ich biedę odpowiadają okupanci Moskale i że gdyby nie oni, to Ukraina żyłaby sobie jak Francja. Podkreślił przy tym, że nie były to wcale dzieci ukraińskojęzyczne, ale te mówiące w Ukrainie po rosyjsku, których rodzice musieli byli napływowymi Rosjanami, służącym także w tej „okupacyjnej armii". Na co Krasowski bez namysłu zawołał: „A trzeba było topić takich w Cisie, gdzie kaczęta pływają, po prostu topić w Cisie".

Stropiony już teraz nieco Łukjanienko bąknął w tle, że „to nie nasza metoda...", na co znowu usłyszał: „Nie wasza, bo wy pisarze fantaści jesteście ludźmi inteligentnymi. A nasza metoda jest taka: »Powiedziałeś, że Moskale to okupanci, od razu do Cisy, do rzeki z burzliwym nurtem«. (...) Tam (na ukraińskim Zakarpaciu – aut.) każda izba to smrekowa chata, zapaskudzili tym całe Karpaty. I zamykać ich właśnie trzeba w takiej smrekowej chacie i palić" – wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Na koniec przywołam pewną relację za Lidią Czukowską, z jej drugiego tomu „Zapisków o Annie Achmatowej". Obie po ewakuacji przebywały podczas II wojny w Taszkiencie. Czukowska stykała się tam z wygnanymi wojną ze swych domów do Uzbekistanu dziećmi z Ukrainy, Białorusi i Rosji, tak to wspominając:

„Białorusini, Żydzi, Ukraińcy, Rosjanie. Dzieci z Kijowa, z Kurska, z Nieżyna, z Mińska, z Leningradu. Jedenastoletnia dziewczynka z okolic Kurska opowiadała mi, jak żyli pod rządami Niemców. W ich chacie stacjonował niemiecki oficer. »Nie był niedobry, karmił nas konserwami, ale pewnego razu w nocy chwycił moją małą siostrę – jeszcze niemowlę – i wrzucił ją do studni. Miała cztery miesiące, szedł jej piąty... Wyjął ją z kołyski, umiejętnie pokołysał – musiał mieć w domu własne maluchy, aż przestała płakać. Wtedy z nią wyszedł i wrzucił do studni«. – Po co to zrobił! – zawołałam. »A co Niemców pani nie widziała?« – odpowiedziała z pogardą dziewczynka – »przeszkadzała mu się wyspać, no to ją wrzucił. U nas w każdej zagrodzie niemowlęta się po studniach walały«".

Nazajutrz rano, 24 października, szefowa RT Margarita Simonjan z oburzeniem nazwała wypowiedź Krasowskiego „dziką i wstrętną" i zawiesiła nawet współpracę z tym „dziennikarzem", pozostawiając sobie jednak furtkę na przyszłość. „Trudno uwierzyć, aby Krasowski naprawdę uważał, że trzeba topić dzieci". Rzeczywiście – bardzo mocno powiedziane. A dziś, jutro i pojutrze wielu niestety na pewno zawoła, parafrazując nieświadomie tamtą ocaloną dziewczynkę z Kurska: „A co, Rosjan państwo nie widzieli?". Bo przecież zabili już oni od początku tej wojny rękami swych najgorszych przedstawicieli, a pod duchowym patronatem Zachara Prilepina, 476 ukraińskich dzieci.

To nasze dzieci

No i jest reakcja Prilepina, mieniącego się następcą Dostojewskiego... Nieco z nią co prawda zwlekał, ale gdy się okazało, że nawet i putiniści wraz z telewizyjnym ludem rosyjskim obruszyli się na to wezwanie do zabijania dzieci w Ukrainie – tym bardziej że były to przecież dzieci rosyjskojęzyczne! – to i prawosławny Prilepin przedstawił swe widzenie tej „kwestii". Najpierw – w sytuacji, gdy sam tchórzliwy Krasowski natychmiast się publicznie pokajał – zaapelował, aby tak zasłużonego dla sprawy chwilowego winowajcy nie krzyżować. Jednakże sam jego apel Prilepin proponuje odrzucić – nie z moralnych wszak, ale utylitarnych względów. „Ludzie rosyjscy nie będą życzyć zguby rosyjskim dzieciom z Ukrainy. Dlatego, że to nasze dzieci. I będą życzyć im pokoju, dobra i ratunku. (...) Bo one – to naród rosyjski. Dorośli Rosjanie różnią się radykalnie od dorosłych Ukraińców (...), ale w naszych dzieciach tę różnicę można (zawczasu – aut.) przezwyciężyć. Jeżeli będziemy się oczywiście zachowywać ostrożnie" – napisał w Telegramie.

Zaiste, przeczytałem w swym życiu, i to niejednokrotnie, całego Dostojewskiego – aż do ostatniej linijki. Teraz też często wracam do tego okrutnego świata, tym bardziej że widzę w nim światło w mrocznym tunelu. U Prilepina zaś, którego kiedyś także – a szczególnie jego powieść „Klasztor" (2014) – z wypiekami na twarzy czytałem, z którym się spotykałem, rozmawiałem, spierałem, teraz dostrzegam tylko nihilistyczną pustkę i pseudoprawosławną otchłań. /©℗

Prof. Grzegorz Przebinda jest rusycystą i historykiem, wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim

JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

SZAŁ ŁOWIENIA MOTYLI

MODRZEJEWSKA NASZYCH CZASÓW

Kiedy zastanawiam się nad fenomenem Heleny Modrzejewskiej, nie mam wątpliwości, że jej godną następczynią jest obchodząca niedawno okrągłe urodziny Teresa Budzisz-Krzyżanowska. Aktorka niezwykła, zachwycająca reżyserów i hipnotyzująca publiczność.

Pamiętam, jak na zaproszenie prof. Jerzego Limona była gościem honorowym Festiwalu Szekspirowskiego i zaimponowała Anglikom i Amerykanom znajomością angielskiego (w tym także przypominała Modrzejewską). Obie grały Hamleta, co dla kobiety jest wyjątkowym wyzwaniem. Obie musiały mieć jakieś pozaziemskie kontakty z poetami, bo Teresa Budzisz-Krzyżanowska wzorem Modrzejewskiej świetnie czuje poezję.

Mówiąc o skali talentu Pani Teresy, warto przypomnieć, że Jerzy Grzegorzewski widział ją w dramatach Wyspiańskiego, sztukach Czechowa, a raz nawet obsadził w roli Paganiniego. Zanim Kieślowski sięgnął po „Dekalog", powierzył jej jedną z głównych ról w zwiastującym tzw. kino moralnego niepokoju filmie „Przejście podziemne".

Jeśli zajrzeć do Encyklopedii Teatru Polskiego, okaże się, że dorobek jubilatki układa się w niezwykłą opowieść. Wystarczy tylko zacytować nazwy postaci i tytuły sztuk, by się przekonać, że Budzisz-Krzyżanowska ma w sobie szaleństwo Julki, wrażliwość Hamleta, klasę i maestrię „Elżbiety Królowej Anglii". Przybywa ze świata poezji niczym Rachela na „Wesele" do Bronowic. Norwid zauważyłby z pewnością, że i bez pierścienia jest Wielką Damą. W trakcie kariery artystycznej opanowała „Mowę kwiatów", poznała zapach „Sklepów cynamonowych".

Była Julią, Julką, „Panną Julią". Dla takiej Julii niejeden Kozak gotów był się przemienić w Romea. (Tu małe wyjaśnienie: partnerem Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej w „Romeo i Julii" był Andrzej Kozak.)

Bywały chwile, że jej życie toczyło się „Pod wulkanem". Bywały „Stracone zachody miłości". Ale wtedy pewnie pomyślała sobie: „Niech no tylko zakwitną jabłonie", i pojawiał się „Apetyt na czereśnie". Nasza jubilatka dobrze czuje się w „Wiśniowym sadzie", bo wtedy może bezkarnie śnić „Sen o bezgrzesznej".

Jest Teresą w Polsce, a była i w „Ameryce" (Franza Kafki). Zachwycała się niejedną „Nocą listopadową". „Tak zwanej ludzkości w obłędzie" potrafi opowiadać „Cztery komedie równoległe".

Zawitała do „Saragossy", gdzie u „Zmierzchu długiego dnia" oglądała „Powolne ciemnienie malowideł", śniąc „Sny Lautreamonta". „Miasto snu" obserwowała bacznie przez Lupę. To były „Dawne czasy", kiedy studiowała podręcznik „Z życia glist".

Słyszałem, że w domu państwa Stein lubi rozmawiać o nieobecnym panu von Goethe. Jest muzą artystów: Czechow zrobił sobie z nią „Dziesięć portretów z Czajką w tle". Za namową Zanussiego odważyła się wykonać „Lot nad kukułczym gniazdem". Krzysztofa Kieślowskiego spotkała w „Przejściu podziemnym", a z trzech kolorów najbardziej lubi „Biały". Tadeusz Konwicki wiedział, że jej słowa potrafią być gorące jak „Lawa". Grała w Fedrze i Fredrze. U Różewicza w „Kartotece" figuruje jako Matka.

Zaczynała w Krakowie, ale „Z biegiem lat, z biegiem dni..." stawała się coraz bardziej aktorką warszawską, narodową. Była carycą, a jest „Papieżycą" polskiego teatru, bo kiedy pojawia się na scenie, „Usta milczą, dusza śpiewa". Bo gra „To co najpiękniejsze".

Ma słuch niczym Paganini. I to ją właśnie czyni Modrzejewską naszych czasów. Kaszubka warszawska, choć krakowska, Teresa Budzisz-Krzyżanowska.

Z okazji jubileuszu chciałoby się zakrzyknąć: Pani Tereso, Budzisz w nas najwyższy podziw!

Ps. I tu nasuwa się refleksja. Teresa Budzisz-Krzyżanowska grała i gra u największych, ale czy któryś z nich ośmieliłby się powiedzieć do niej tak po prostu: Cześć, Tereska? /©℗